

PIĘĆ PESTEK POMARAŃCZY (THE FIVE ORANGE PIPS)

Kiedy przeglądam swoje notatki i zapiski dotyczące spraw Sherlocka Holmesa z lat 1882–1890, natrafiam wśród nich na tak wiele niezwykłych i ciekawych historii, że podjęcie decyzji, którą z nich wybrać, a którą odrzucić, jest rzeczą doprawdy niełatwą. Poza tym część z nich zyskała już rozgłos dzięki artykułom w gazetach, inne zaś nie uwydatniają dostatecznie owych szczególnych zalet, jakimi tak szczerze obdarzony jest mój przyjaciel, a których przedstawienie stanowi cel moich opowieści. Część spraw nie doczekała się rozwiązania mimo analitycznej biegłości Sherlocka Holmesa, wskutek czego opowiadania o nich byłyby pozbawione zakończeń, a inne zostały wyjaśnione tylko częściowo, i to raczej dzięki domniemaniom i przypuszczeniom niż tak drogiemu sercu Holmesa czystemu logicznemu rozumowaniu. Wśród tych ostatnich spraw jest wszakże jedna, tak w swych szczegółach znamienita i o tak wstrząsającym finale, że odczuwam pokusę podjęcia próby, by o niej jakoś opowiedzieć, choć pewne jej aspekty nie zostały i prawdopodobnie nigdy nie zostaną całkowicie wyjaśnione. Rok 1887 obfitował w sprawy różnej wagi, które zachowuję w swojej kronice. Wśród przypadków z okresu tych dwunastu miesięcy znajduję na przykład śledztwa związane z „Paradol Chamber”, czyli Towarzystwem Miłośników Żebractwa, które prowadziło luksusowy klub w podziemiach składu mebli; ze sprawą zaginięcia brytyjskiej barki „Sophy Anderson”; dziwnych przygód Grice Patersons na wyspie Uffa i wreszcie z tajemnicą otrucia Camberwella. W tym ostatnim przypadku, jak może jeszcze publiczność pamięta, Sherlock Holmes, nakręcając zegarek zmarłego człowieka, zdołał udowodnić, że chronometr ów został nastawiony dwie godziny wcześniej, co wskazywało, że zmarły położył się do łóżka w tym właśnie czasie - a dedukcja ta miała decydujące znaczenie dla wyjaśnienia całej zagadki. Wszystkie te śledztwa są naprawdę ciekawe i być może opiszę je kiedyś w przyszłości, jednak w żadnym z nich nie występuje - jak we wspomnianym wcześniej - tak wyjątkowo dziwny splot wydarzeń, które sprawiły, że właśnie wzięłem pióro do ręki, by je opisać. Było to w ostatnich dniach września, kiedy towarzyszące zrównaniu dnia z nocą wichury zaczęły dąć ze szczególną siłą. Przez cały dzień zawodził wiatr, a deszcz tłukł o szyby, tak że nawet tu, w samym sercu wspaniałego, wzniesionego ręką człowieka Londynu, czuliśmy się zmuszeni odbiec na chwilę myślami od naszych codziennych spraw i uświadomić sobie istnienie potężnych żywiołów, które niczym dzikie bestie uwięzione w klatce ryczą na ludzkość poprzez stworzone przez nią bariery cywilizacji. Z nadejściem wieczoru nawałnica stawała się z każdą chwilą głośniejsza, a wiatr w kominie zanosił się od płaczu jak dziecko. Sherlock Holmes siedział w ponurym nastroju po jednej stronie kominka, opatrując przypisami swoją kronikę kryminalną, podczas gdy ja, po drugiej stronie, do tego stopnia zagłębiłem się w lekturze jednego ze świetnych opowiadań morskich Clarka Russella, że ryk nawałnicy z zewnątrz zdawał mi się zlewać z jego tekstem, a plusk deszczu - przechodzić w przeciągły szum rozbijających się o skały morskich fal. Ponieważ moja małżonka pojechała z kilkudniową wizytą do swej ciotki, raz jeszcze stałem się współlokatorem Holmesa w mieszkaniu przy Baker Street.

- A to co? - powiedziałem, zerkając na mego towarzysza. - Z pewnością słyszałem dzwonek. Któż to się dzisiaj mógł do ciebie wybrać? Jakiś twój przyjaciel?

- Jedynym moim przyjacielem jesteś ty - odparł. - Poza tym nie mam w zwyczaju nikogo zapraszać.

- A zatem klient?

- Jeśli tak, to w sprawie wielkiej wagi. Nic innego nie wyciągnęłoby człowieka na dwór w taki dzień i o takiej godzinie. Już bardziej prawdopodobne, że to jakaś kumoszka naszej gospodyni.

Sherlock Holmes pomylił się jednak w swych domysłach, ponieważ z korytarza dobiegł nas odgłos kroków, a następnie rozległo się pukanie do drzwi. Mój przyjaciel wyciągnął swe długie ramię, żeby odwrócić od siebie lampę i skierować ją na puste krzesło, które będzie musiał zająć przybysz.

- Proszę! - rzekł.

Do pokoju wszedł młody, z wyglądu dwudziestodwuletni człowiek. Ubrany był z pedantyczną dbałością, a sposobem bycia zdradzał pewną dystynkcję i wrażliwość. Trzymany przezeń w ręce ociekający parasol oraz długi lśniący od wody płaszcz nieprzemakalny świadczyły o gwałtowności ulewy, której musiał stawić czoło. Kiedy w blasku lampy rozglądał się z niepokojem, dostrzegłem, że jego twarz jest blada, a wzrok chmurny jak u człowieka przytłoczonego ciężarem jakiejś wielkiej troski.

- Jestem panu winien przeproszenie - powiedział, podnosząc do oczu złote pince-nez. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Obawiam się, że do pańskiego zacisza wniosłem ze sobą ślady nawałnicy.

- Proszę mi podać swój płaszcz i parasol - rzekł Holmes. - Niech sobie spoczną na wieszaku, a niebawem będą suche. Jak widzę, przybył pan z południowego zachodu.

- Tak, z Horsham.

- Ta mieszanka gliny i kredy, którą widzę na osłonach nosków pańskich butów, jest bardzo charakterystyczna.

- Przyszedłem po radę.

- O radę nietrudno.

- I po pomoc.

- Z tym bywa gorzej.

- Słyszałem o panu, panie Holmes. Major Prendergast opowiedział mi, jak go pan uratował w związku ze skandalem w klubie Tankerville.

- Ach, rzeczywiście. Został on niesłusznie posądzony o karciane oszustwo.

- Powiedział, że pan rozwiąże każdą sprawę.

- Przesadził.

- Że pan nigdy nie przegrywa.

- Zostałem pokonany czterokrotnie. Trzy razy przez mężczyzn, raz przez kobietę.

- Cóż to jednak znaczy w porównaniu z liczbą pańskich sukcesów?

- To prawda; na ogół mi się udaje.

- A zatem podobnie będzie w moim przypadku.

- Niechże pan przysunie krzesło do kominka i zaszczyci mnie jakimiś szczegółami związanymi z pańskim przypadkiem.

- To nie jest zwykła sprawa.

- Do mnie nie trafiają inne sprawy. Jestem sądem ostatniej instancji.

- A jednak wątpię, sir, czy w całej pańskiej praktyce zetknął się pan kiedykolwiek z bardziej tajemniczym i niewytłumaczalnym następstwem zdarzeń niż te, które dotknęły moją rodzinę.

- Rozbudził pan we mnie ciekawość. Błagam, niechże nam pan przedstawi główne fakty od samego początku, abym następnie mógł zadać pytania związane z tymi szczegółami, które wydadzą mi się najważniejsze.

- Nazywam się - zaczął - John Openshaw, choć moje własne sprawy, na tyle, na ile się w tym orientuję, mają niewiele wspólnego z tą okropną historią. Dotyczy ona kwestii spadkowych, a więc żeby dać panu wyobrażenie o faktach, muszę wrócić do jej początku. Powinien pan wiedzieć, że mój dziadek miał dwóch synów - mego stryja Eliasa i mego ojca Josepha. Ojciec posiadał małą fabrykę w Coventry, którą rozbudował w czasie, kiedy wynaleziono rower. Był

posiadaczem patentu na niezniszczalną oponę Openshawa, a jego przedsiębiorstwo odniosło taki sukces, że mógł je sprzedać i na bardzo dobrych warunkach przejść na emeryturę. Stryj wyemigrował do Ameryki jako młody człowiek i został plantatorem na Florydzie, gdzie, jak dochodziły słuchy, powodziło mu się bardzo dobrze. W czasie wojny domowej walczył w armii Jacksona, a następnie pod dowództwem Hooda, awansując do rangi pułkownika. Kiedy Lee złożył broń, stryj powrócił na swoją plantację i pozostał tam jeszcze przez trzy lub cztery lata. W roku 1869 lub 1870 wrócił do Europy, gdzie znalazł sobie małą posiadłość w hrabstwie Sussex w pobliżu Horsham. W Ameryce zbił całkiem pokaźny majątek, a wyjechał stamtąd powodowany wstrętem do Murzynów oraz niechęcią do polityki republikanów rozszerzającej przywileje czarnoskórych. Był dziwnym człowiekiem, zawziętym i krewkim, nieprzebierającym w słowach w chwilach gniewu, całkowicie zamkniętym w sobie. Wątpię, czy przez wszystkie te lata, kiedy mieszkał w Horsham, kiedykolwiek pojawił się w mieście. Wokół domu miał ogród i kawał łąki, gdzie zażywał ruchu, ale bardzo często przez całe tygodnie nie opuszczał swego pokoju. Wypijał ogromne ilości brandy, obficie palił, ale z nikim się nie spotykał ani też nie potrzebował żadnych przyjaciół, nawet w osobie własnego brata. Na mnie nie zwracał większej uwagi, ale właściwie to cieszyłem się pewną sympatią z jego strony, ponieważ kiedy zobaczył mnie po raz pierwszy, byłem mniej więcej dwunastoletnim młodzikiem. Stało się to w roku 1878, już po ośmiu czy dziewięciu latach jego pobytu w Anglii. Ubłagał mego ojca, aby mi pozwolił z nim zamieszkać, i na swój sposób był mi bardzo życzliwy. W chwilach trzeźwości z zamiłowaniem grywał ze mną w tryk-traka i bierki i uczynił mnie swym przedstawicielem zarówno wobec własnej służby, jak dostawców, tak że kiedy ukończyłem szesnaście lat, stałem się właściwie panem domu. Miałem pieczę nad wszystkimi kluczami; mogłem chodzić, gdzie mi się podobało, i robić to, na co miałem ochotę, pod warunkiem że nie naruszam jego prywatności. Był wszakże pewien szczególny wyjątek. Stryj miał pokój - stale zamkniętą rupieciarnię, do której nie pozwalał wchodzić ani mnie, ani komukolwiek innemu. Kierowany chłopięcą ciekawością, zaglądałem tam przez dziurkę od klucza, ale nie udawało mi się dostrzec nic poza stłoczonymi kuframi i tobołkami, czego się zresztą po takim pomieszczeniu można było spodziewać.

Pewnego dnia - a było to w marcu 1883 roku - na stole przed talerzem pułkownika pojawił się list z zagranicznym znaczkiem. Otrzymywanie korespondencji nie było dla niego zjawiskiem powszednim; wszystkie rachunki opłacał bowiem gotówką, a żadnych przyjaciół nie posiadał.

- Z Indii! - powiedział, podnosząc kopertę. - Stempel pocztowy z Pondicherry! Cóż to może być? - otworzył list pospiesznie, a z wnętrza wypadło pięć drobnych, zasuszonych pestek pomarańczy, stukając po jego talerzu. Zacząłem się śmiać, ale śmiech zamarł mi na ustach na widok twarzy stryja. Szczeka mu opadła, oczy wyszły z orbit, skóra nabrała barwy popiołu, on zaś wlepił nienawistne spojrzenie w kopertę, którą wciąż jeszcze trzymał w drżącej dłoni.

- K... K... K... - jęknął. - O Boże, o Boże, dopadły mnie moje grzechy!

- Co to takiego, stryju? - zapytałem.

- Śmierć - powiedział i podniósł się z krzesła, by zniknąć w swoim pokoju, a ja zostałem, dygocząc z przerażenia. Podjąłem ze stołu kopertę i na wewnętrznej stronie skrzydelka, tuż nad brzegiem powleczonym klejem, ujrzałem nabazgraną czerwonym atramentem, po trzykroć powtórzoną literę „K”. Poza pięcioma zasuszonymi pestkami nie było tam nic więcej. Co mogło wywołać ten obezwładniający strach? Wyszedłem z jadalni i kiedy wchodziłem po schodach, minąłem się ze stryjem, który trzymał w jednej ręce zardzewiały klucz, prawdopodobnie do drzwi stryżku, a w drugiej małą mosiężną kasetkę.

- Mogą sobie wylazić ze skóry, a ja ich i tak przechytzę - powiedział z zawziętością w głosie. - Powiedz Mary, żeby w moim pokoju rozpałała ogień w kominku, i pošlij po adwokata Fordhama z Horsham. Wykonałem jego polecenia, a kiedy prawnik przyjechał, zostałem poproszony do

pokoju na górze. Ogień palił się jasnym płomieniem, a ruszt kominka pokryty był obficie czarnym popiołem jakby po spalonych papierach, obok zaś stała mosiężna kasetka - była otwarta i pusta. Zerknąwszy na nią, drgnąłem na widok wybitego na jej wieku potrójnego „K”, jakie rankiem odczytałem na kopercie.

- Chciałbym, Johnie - rzekł stryj - abyś był świadkiem sporządzania mojej ostatniej woli. Swoje mienie z wszystkimi jego pożytkami i kłopotami pozostawiam mojemu bratu, czyli twojemu ojcu, po czym oczywiście przypadnie ono tobie. Jeśli zdołasz się tym cieszyć w spokoju ducha, to bardzo dobrze. Ale jeśli stwierdzisz, że to niemożliwe, to posłuchaj, chłopcze, mojej rady i zostaw to swemu śmiertelnemu wrogowi. Przykro mi, że przekazuję ci coś tak niepewnego, nie mogę jednak przewidzieć, jaki obrót przyjmą sprawy. Bądź uprzejmy podpisać dokument w miejscu wskazanym ci przez pana Fordhama. Złożyłem podpis zgodnie ze wskazówką prawnika, który następnie zabrał dokument ze sobą. Domyśla się pan zapewne, że ten szczególny incydent wywarł na mnie niezwykle wrażenie, rozważałem go więc w swym umyśle na wszystkie możliwe sposoby, nie będąc jednak w stanie wysnuć jakichkolwiek wniosków. Stryj pił więcej niż kiedykolwiek przedtem i jeszcze bardziej stronił od wszelkiego towarzystwa. Większość czasu spędzał w swoim pokoju, za drzwiami zamkniętymi od wewnątrz na klucz, choć czasem pojawiał się ogarnięty jakimś pijackim szałem, wypadał jak burza z domu i miotał się po ogrodzie z rewolwerem w dłoni, wykrzykując, że nie boi się nikogo i że żaden człowiek ani diabeł nie zmusi go, aby tkwił zamknięty w kojcu jak owca. Kiedy jednak te gwałtowne ataki przemijały, rzucał się wzburzony w kierunku domu, zamykał za sobą drzwi i rygłował je, jak człowiek, który jednak kapituluje przed strachem tkwiącym korzeniami w jego duszy. W takich chwilach widziałem, że nawet w zimne dni twarz stryja lśniła od potu, jakby ją właśnie podniósł znad miednicy z wodą. Poprowadźmy więc rzecz do końca, panie Holmes, nie nadużywając pańskiej cierpliwości. Nadeszła noc, kiedy stryj znów wyruszył na swą pijacką eskapadę, ale tym razem już z niej nie powrócił. Podjęliśmy poszukiwania, by go wreszcie znaleźć leżącego twarzą w dół w małej, porośniętej rzęsą sadzawce, w głębi ogrodu. Nie było żadnych śladów walki, a woda w tym bajorze miała głębokość zaledwie dwóch stóp, tak że ława przysięgłych, wzięwszy pod uwagę jego znaną ekscentryczność, zawyrokowała o samobójstwie. Ja wszakże, wiedząc, jak bardzo stryj drżał na samą myśl o śmierci, nie mogłem uwierzyć, że się odważył sam ją sobie zadać. Tak czy inaczej mój ojciec stał się właścicielem tej posiadłości oraz około czterestu tysięcy funtów, ulokowanych na koncie w banku.

- Chwileczkę - wtrącił Holmes. - Podejrzewam, że pańska relacja jest jedną z najbardziej niezwykłych, jakie kiedykolwiek słyszałem. Niech mi pan poda daty otrzymania listu przez pańskiego stryja oraz jego domniemanego samobójstwa.

- List nadszedł dziesiątego marca 1883 roku, a śmierć stryja nastąpiła siedem tygodni później, czyli drugiego maja w nocy.

- Dziękuję. Proszę kontynuować.

- Kiedy ojciec przejął posiadłość pod Horsham, na moją prośbę dokładnie przeszukał strych, który zawsze był zamknięty na klucz. Znaleźliśmy tam mosiężną kasetkę, ale jej zawartość została zniszczona. Na wewnętrznej stronie wieka znajdowała się papierowa nalepka z trzykrotnie powtórzonymi inicjałami K.K.K, pod którymi widniał napis: LISTY, PISMA URZĘDOWE, POKWITOWANIA. Wskazywało to, jak przypuszczaliśmy, na charakter dokumentów zniszczonych przez pułkownika Openshawa. Poza tym na strychu nie było niczego szczególnie interesującego, nie licząc wielkiej ilości papierów i notatników związanych z amerykańskim okresem życia mego stryja. Niektóre z nich pochodziły z czasów wojny i świadczyły o tym, że był wzorowym i słynącym z odwagi żołnierzem. Inne pochodziły z czasów odbudowy południowych stanów i w większości dotyczyły polityki, ponieważ stryj niewątpliwie

był poważnie zaangażowany w działalność opozycyjną, skierowaną przeciwko nasyłanym z Północy, nieznanym nikomu politykom. A zatem, kiedy ojciec przybył do Horsham, aby tam zamieszkać, był początek roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego czwartego i wszystko układało się jak najlepiej aż do stycznia następnego roku. Czwartego dnia po Nowym Roku, wkrótce po tym, jak zasiedliśmy do śniadania, usłyszałem okrzyk zdziwienia ojca. W jednej dłoni trzymał otwartą właśnie kopertę, a na drugiej leżało pięć zasuszonych pestek pomarańczy. Ojciec zawsze reagował śmiechem na duby smalone, jak nazywał moją opowieść o tym, co spotkało pułkownika, a jednak teraz, kiedy się znalazł w takiej samej sytuacji, wyglądał na bardzo zaintrygowanego i przestraszonego.

- Cóż to ma, u licha, znaczyć, Johnnie? - wyjąkał.

Serce mi skamieniało.

- To KKK - odparłem. Zajrzał do środka.

- Rzeczywiście! - krzyknął. - Są tu te właśnie litery. Ale co jest napisane pod nimi?

- *Położ dokumenty na zegarze słonecznym* - odczytałem, zaglądając mu przez ramię.

- Jakie dokumenty? Jaki zegar słoneczny? - zapytał.

- Zegar słoneczny jest w ogrodzie. Nie ma tu innego - powiedziałem - dokumenty to chyba te, które zostały zniszczone.

- Też mi coś - powiedział, wciąż nie tracąc mężnie ducha. - Żyjemy w cywilizowanym kraju i nie bawimy się w podobne błazeństwa. Gdzie to nadano?

- W Dundee - odparłem, spojrzawszy na stempel pocztowy.

- To jakiś niedorzeczny figiel - stwierdził. - Co ja mam wspólnego z zegarami słonecznymi i dokumentami? Ani myślę zaprzętać sobie głowy podobną bzdurą.

- Powinienem z pewnością porozmawiać z policją - powiedziałem.

- I z mojego powodu wystawić się na pośmiewisko. Absolutnie wykluczone.

- Ale pozwól mi to zrobić.

- Nie, zabraniam ci. Nie chcę podnosić wrzawy wokół takich bredni.

Próżno byłoby się spierać z tym niezwykle upartym człowiekiem. Chodziłem wszakże z sercem przepelnionym złymi przeczuciami. Trzeciego dnia po nadejściu listu ojciec wyjechał z domu, aby odwiedzić starego przyjaciela, majora Freebody'ego, który jest dowódcą jednego z fortów na wzgórzu Portsdown. Ucieszyło mnie to, ponieważ sądziłem, że oddalając się od domu, oddala się również od grożącego mu niebezpieczeństwa. Tu się jednak myliłem. Na drugi dzień jego nieobecności otrzymałem telegram od majora z błaganiem, abym natychmiast tam przybył. Ojciec wpadł do jednego z licznych w tej okolicy głębokich wykopów w kredowych kamieniołomach i leżał teraz bez czucia z pogruchotaną czaszką. Pospieszyłem do niego, ale on zmarł, nie odzyskując nawet przytomności. Jak się okazało, ojciec wracał o zmroku z Fareham, a ponieważ nie znał okolicy, dół zaś nie był ogrodzony, ława przysięgłych bez wahania wydała orzeczenie: „Śmierć wskutek nieszczęśliwego wypadku”. Choć starannie zbadałem wszystkie okoliczności związane z jego śmiercią, w żaden sposób nie mogłem doszukać się czegokolwiek, co nasuwałoby myśl o morderstwie. Nie było żadnych oznak walki, żadnych śladów stóp, żadnego rabunku, nie widziano żadnych obcych ludzi na drogach. A jednak nie muszę panu mówić, jak daleko mi było do spokoju ducha i że miałem nieomal pewność istnienia jakiejś odrażającej intrygi, której ofiarą padł mój ojciec. W ten oto złowrogi sposób wszedłem w posiadanie mego dziedzictwa. Zapyta pan, dlaczego się go nie pozbyłem? Otóż dlatego, że byłem święcie przekonany, iż nasze kłopoty wiązały się z jakimś tajemniczym wydarzeniem w życiu stryja i że równie poważne niebezpieczeństwo zagraża mi zarówno w tym, jak i w innym domu. Mój biedny ojciec zakończył swój żywot w styczniu 1885 roku i od tamtych zdarzeń upłynęły dwa lata i osiem miesięcy. Przez ten czas żyłem szczęśliwie w Horsham i zaczynałem mieć

nadzieję, że wraz z odejściem poprzedniego pokolenia przekleństwo przestało już ciążyć na naszej rodzinie. Na pocieszenie się było jednak za wcześnie; wczoraj rano stało się dokładnie to samo, co w przypadku mego ojca. Młodzieniec wyjął z kieszonki kamizelki pogniecioną kopertę i odwracając się do stołu, wytrząsnął z niej pięć zasuszonych drobnych pestek pomarańczy.

- Oto koperta - ciągnął. - Stempel pocztowy ze wschodniej części Londynu. Wewnątrz znajdują się dokładnie te same słowa co w ostatniej przesyłce skierowanej do ojca - KKK, a następnie: *Polóż dokumenty na zegarze słonecznym.*

- Co pan uczynił?

- Nic.

- Nic?

- Prawdę mówiąc - ukrył twarz w swych szczupłych, białych dłoniach - poczułem się bezradny. Jak ten nieszczęsny królik, do którego podpełza prężący się wąż. Miałem wrażenie, że jestem w uścisku jakiegoś neodpartego, nieubłaganego zła, przed którym nie może mnie uchronić ani przezorność, ani jakiegokolwiek środki ostrożności.

- Zaraz, zaraz - krzyknął Sherlock Holmes. - Trzeba działać, człowieku, bo w przeciwnym razie grozi panu zguba. Tylko energiczne działanie może pana uratować. Nie czas na rozpacz.

- Byłem na policji.

- Ach tak?

- Ale oni wysłuchali mojej historii z rozbawieniem. Jestem przekonany, że według inspektora owe listy są tylko czyimiś figlami, a zgony moich krewnych to prawdziwe wypadki, tak jak to orzekł sąd przysięgłych, i nie miały żadnego związku z tymi ostrzeżeniami.

Holmes potrząsnął zaciśniętymi pięściami.

- Niewiarygodna głupota! - zakrzyknął.

- Przydzielili mi jednak policjanta, żeby pilnował mego domu.

- Czy przyszedł tu dziś z panem?

- Nie. Ma rozkaz nie ruszać się stamtąd na krok.

Holmes znów zamachał pięściami.

- Dlaczego pan do mnie przyszedł? - zapytał. - A przede wszystkim, dlaczego nie przyszedł pan od razu?

- Nie wiedziałem o panu. Dopiero dziś rozmawiałem z majorem Prendergastem o moim zmartwieniu, a on poradził mi, abym poszedł do pana.

- Upłynęły więc już dwa dni od czasu nadejścia tego listu. Powinniśmy byli zacząć działać wcześniej. Przypuszczam, że nie ma pan innych dowodów poza już przedstawionymi, żadnych istotnych szczegółów, które mogłyby nam pomóc.

- Jest coś jeszcze - powiedział John Openshaw. Pogrzebał w kieszeni surduta i wyciągnawszy z niej kawałek wyblakłego papieru o niebieskim zabarwieniu, położył go na stole.

- Przypominam sobie - rzekł - że tamtego dnia, kiedy mój stryj palił dokumenty, zauważyłem w popiele wąskie, niedopalone brzegi papierów tego właśnie koloru. Tę pojedynczą kartkę znalazłem na podłodze w jego pokoju i tknęła mnie myśl, że mogła się ona odłączyć od pozostałych dokumentów i sfrunąć niezauważona, unikając w ten sposób zniszczenia. Poza wzmianką o pestkach nie sądzę, aby mogła nam wiele pomóc. Myślę, że strona ta pochodzi z prywatnego dziennika stryja. Nie ulega wątpliwości, że to jego charakter pisma. Holmes przysunął lampę i obaj pochyliliśmy się nad splechętym papierem, którego wystrzępiony brzeg świadczył, że został wyrwany z jakiegoś zeszytu. Był opatrzony nagłówkiem *Marzec 1869*, pod którym następowały zagadkowe notatki:

4. Przyszedł Hudson. Wciąż to samo politykowanie.

7. *Postraszono pestkami McCauleya, Paramore'a i Swaina z St. Augustine.*

9. *McCauley zniknął.*

10. *John Swain zniknął.*

12. *Odwiedziłem Paramore'a. Wszystko w porządku.*

- Dziękuję! - powiedział Holmes, składając papier i zwracając go naszemu gościowi. - A teraz pod żadnym pozorem nie wolno nam już stracić ani chwili. Nie mamy nawet czasu na omówienie tego, co mi pan powiedział. Powinien pan natychmiast jechać do domu i działać.

- Co mam zrobić?

- Tylko jedno. I to natychmiast. Ten papier trzeba włożyć do opisanej przez pana mosiężnej kasetki. Należy też do niego dołączyć kartkę z informacją, że wszystkie dokumenty, z wyjątkiem tego jednego, zostały przez pańskiego stryja spalone. Zapewnienie to musi brzmieć przekonywająco. Co uczyniwszy, połóż pan niezwłocznie kasetkę na zegarze słonecznym, tak jak brzmiało polecenie. Czy to jest zrozumiałe?

- Całkowicie.

- Proszę na razie nie myśleć o zemście ani o niczym w tym rodzaju. Uważam, że dojdziemy do tego zgodnie z prawem. My jednak naszą pajęczynę musimy dopiero uprząść, podczas gdy ich sieć jest już gotowa. Teraz najważniejszą sprawą jest usunięcie tego nieustannego zagrożenia, jakie wisi nad panem. Później przyjdzie kolej na wyświetlenie tajemnicy i doprowadzenie do ukarania winnych.

- Dziękuję - rzekł młodzieniec, wstając i wkładając płaszcz. - Tchnął pan we mnie nowe życie i nadzieję. Oczywiście postąpię zgodnie z pańską radą.

- Proszę nie tracić ani chwili. A nade wszystko niech pan zachowa ostrożność, ponieważ uważam, że nie ma wątpliwości co do tego, iż niebezpieczeństwo, jakie panu zagraża, jest bardzo realne i bliskie. W jaki sposób pan wraca do domu?

- Pociągiem z Dworca Waterloo.

- Nie ma jeszcze dziewiątej. Na ulicach będzie tłoczno, więc mam nadzieję, że nic panu nie zgrozi. Ale ostrożności nigdy za dużo.

- Jestem uzbrojony.

- To dobrze. Jutro zabiorę się do pracy nad tą sprawą.

- A zatem zobaczymy się jutro w Horsham?

- Nie, pańska zagadka kryje się w Londynie. To tu zamierzam ją tropić.

- Więc za dzień lub dwa odwiedzę pana z wiadomościami na temat kasetki i dokumentów. Zastosuję się do pańskiej rady w najdrobniejszych szczegółach - uściśnił nam dłonie i się oddalił. Na dworze wiatr wciąż zawodził, a deszcz z dudnieniem zalewał szyby. Wydawało się, że ta dziwna historia przybyła do nas z samego wnętrza rozszalałych żywiołów - wtargnęła w porywie nawałnicy niczym kurtyna z morskich wodorostów - a teraz została ponownie przez te moce wchłonięta. Sherlock Holmes siedział jakiś czas w milczeniu z głową podaną do przodu, ze wzrokiem wlepionym w czerwony blask ognia na kominku. Następnie zapalił fajkę, odchylił się w fotelu i obserwował, jak kolejne niebieskie kółka dymu ścigają się w drodze ku sufitowi.

- Myślę, Watsonie - zauważył w końcu - że pośród wszystkich naszych spraw nie mieliśmy jeszcze tak niesamowitej jak ta.

- Może z wyjątkiem „Znaku czterech”.

- A, tak. Może z wyjątkiem tej. A jednak wydaje mi się, że ten John Openshaw stąpa wśród większych nawet niebezpieczeństw niż Sholtos.

- Ale czy masz już jakiś zdecydowany pogląd co do charakteru tych zagrożeń? - zapytałem.

- Ich istota jest dla mnie oczywista - odparł.

- Więc na czym one polegają? Kto to jest ów KKK i dlaczego prześladowuje tę nieszczęsną rodzinę? Sherlock Holmes przytknął oczy i umieścił łokcie na oparciach fotela, stykając dłonie czubkami palców.

- Człowiek, który rozumie w sposób doskonały - zaczął - mając okazany pojedynczy fakt we wszystkich jego aspektach, wydedukowałby z niego nie tylko cały łańcuch zdarzeń, które do niego przywiodły, ale także wszelkie konsekwencje, jakie mogą z niego wyniknąć. Tak jak Cuvier potrafił prawidłowo opisać całe zwierzę, kontemplując pojedynczą jego kość, tak i obserwator, który gruntownie zrozumie jedno ogniwo w ciągu wydarzeń, powinien zdołać trafnie ustalić wszystkie pozostałe, zarówno te poprzedzające, jak następne. Wciąż jeszcze nie doceniamy wyników, jakie można osiągnąć poprzez czyste rozumowanie. Problemy mogą być rozwiązywane w procesie badawczym, który wprawia w zakłopotanie wszystkich tych, którzy szukali rozstrzygnięcia, wspomagając się własnymi zmysłami. Dla wyniesienia tej sztuki na szczyty konieczne jest, aby dowodzący był w stanie wykorzystać wszystkie fakty, które dotarły do jego wiadomości, a już samo to zakłada, jak z pewnością się ze mną zgodzisz, posiadanie całkowitej wiedzy, co nawet w dzisiejszych czasach wolnego dostępu do edukacji i encyklopedii stanowi raczej rzadkie osiągnięcie. Ale jest przecież możliwe, aby człowiek posiadał tę wiedzę, która może się okazać najbardziej przydatna w jego zawodzie, i do tego właśnie dążę. Jeśli dobrze pamiętam, to kiedyś przy jakiejś okazji, jeszcze w początkach naszej przyjaźni, określiłeś w sposób niezwykle precyzyjny granice moich możliwości.

- Tak - odparłem ze śmiechem. - To było szczególne świadectwo. Pamiętam, że z filozofii, astronomii i polityki oceny wypadły katastrofalnie. Z botaniki - dostatecznie; z geologii celująco - zwłaszcza w zakresie śladów zaschłego błota pochodzącego ze wszystkich regionów w promieniu pięćdziesięciu mil od miasta; wiedza chemiczna okazała się wybiórcza, z anatomii - powierzchowna; twoja mocna strona to również literatura sensacyjna i kroniki kryminalne; zostało też stwierdzone, że jesteś skrzypkim, bokserem, szermierzem, prawnikiem oraz że zatruwasz się kokainą i tytoniem. Takie były, jak mi się wydaje, główne punkty mojej analizy. Holmes uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi na ostatnią pozycję z tej listy.

- No cóż - rzekł. - Powtórzę teraz to, co już mówiłem wcześniej, a mianowicie że człowiek powinien zakamarki swego ograniczonego mózgu wypełnić zawartością, której prawdopodobieństwo wykorzystania jest największe, resztę zaś może odłożyć do archiwalnego lamusa, gdzie w razie potrzeby będzie mógł ją znaleźć. Teraz zaś, w przypadku takim, jaki nam przedłożono dzisiejszego wieczoru, musimy z pewnością sięgnąć do wszystkich naszych zasobów. Bądź tak uprzejmy i podaj mi tom z literą „K” *Encyklopedii amerykańskiej*, która stoi na półce obok ciebie. Dziękuję. Rozważmy sytuację i zobaczmy, co się z niej da wydedukować. Po pierwsze z całą pewnością możemy zacząć od przyjęcia założenia, że pułkownik Openshaw miał jakiś poważny powód, by opuścić Amerykę. Mężczyźni w jego wieku nie zmieniają przyzwyczajeń i niechętnie rezygnują z uroczego klimatu Florydy, by rozpocząć samotny żywot w prowincjonalnym angielskim miasteczku. Jego skrajne odosobnienie w Horsham nasuwa myśl, że przepęlniał go strach przed kimś lub przed czymś i że to właśnie wypędziło go z Ameryki. Co zaś było powodem tego strachu, możemy tylko wywnioskować, rozpatrując złowrogie listy, które odebrał on sam i jego następcy. Czy zwróciłeś uwagę na stemple pocztowe tych przesyłek?

- Pierwszy był z Pondicherry, drugi z Dundee, a trzeci z Londynu.

- Ze wschodniej części Londynu. Jaki stąd wniosek?

- Wszystkie te miasta są portami morskimi. A więc nadawca znajdował się na pokładzie statku.

- Znakomicie. Mamy już zatem trop. Nie ma żadnej wątpliwości co do istnienia prawdopodobieństwa, i to dużego, że piszący znajdował się na pokładzie statku. Rozważmy teraz inny szczegół. W wypadku Pondicherry między groźbą a jej spełnieniem upłynęło siedem

tygodni, przy Dundee to były tylko trzy lub cztery dni. Czy to czegoś nie sugeruje?

- Większą odległość do pokonania.

- Ale przecież list również miał dłuższą drogę do przebycia.

- Wobec tego nie rozumiem.

- Można by przynajmniej domniemywać, że statek, na którym znajduje się ten człowiek, albo ci ludzie, jest żaglowcem. Wygląda to tak, jak gdyby swoje dziwne ostrzeżenia lub znak zapowiadający ich zbliżanie się wysyłali zawsze w chwili rozpoczęcia misji. Widzisz, jak szybko nastąpił czyn po nadejściu znaku z Dundee. Gdyby przybyli z Pondicherry parowcem, to przyplłynęliby niemal jednocześnie z listem. A przecież faktem jest, że upłynęło siedem tygodni. Sądzę, że tych siedem tygodni stanowi różnicę między statkiem pocztowym, który wiozł list, a żaglowcem z jego nadawcą na pokładzie.

- To niewykluczone.

- Więcej niż niewykluczone. To niemal pewne. Rozumiesz więc teraz, dlaczego tak wyjątkowo szybko należało działać w ostatnim przypadku i dlaczego nakłaniałem młodego Openshawa do zachowania ostrożności. Cios spadał zawsze pod koniec okresu, jaki był potrzebny nadawcom do pokonania tego dystansu. Tym jednak razem ktoś przybywa z Londynu, a zatem nie możemy liczyć na opóźnienie.

- Dobry Boże! - krzyknąłem. - Cóż może oznaczać to nieustępliwe prześladowanie?

- Dokumenty, które trzymał Openshaw, są bez wątpienia niezwykle ważne dla ludzi z żaglowca. Jest chyba zupełnie jasne, że tych osób musi być więcej niż jedna. Pojedynczy człowiek nie potrafiłby doprowadzić do dwóch zgonów w taki sposób, aby wywieść w pole ławę przysięgłych sądu i koronera. Musi być w to zaangażowanych kilku sprawców, a ludzie ci są na pewno przebiegli i zdecydowani. Swoje dokumenty zamierzają zdobyć niezależnie od tego, kto jest ich posiadaczem. W ten sposób, jak widzisz, litery KKK przestają już być inicjałami pojedynczej osoby, a stają się emblematem stowarzyszenia.

- Jakie to stowarzyszenie?

- Czy nigdy nie słyszałeś - Sherlock Holmes pochylił się ku mnie i ściszył głos: - Czy nigdy nie słyszałeś o Ku-Klux-Klanie?

- Nigdy.

Holmes przewrócił kilka stron książki spoczywającej na jego kolanach.

- Jest - rzekł w końcu. - „Ku-Klux-Klan. Nazwa wywiedziona z wyimaginowanego podobieństwa do dźwięku powstającego przy odwodzeniu kurka strzelby. To całkowicie tajne stowarzyszenie zostało założone na Południu po zakończeniu wojny domowej przez grupę byłych żołnierzy konfederackich i natychmiast utworzyło lokalne odgałęzienia w różnych stanach, a zwłaszcza w Tennessee, Luizjanie, obu Karolinach, Georgii i na Florydzie. Jego siła wykorzystywana była w celach politycznych, głównie do zastraszania czarnoskórych wyborców oraz mordowania lub wypędzania z kraju tych, którzy wyrażali sprzeciw wobec poglądów stowarzyszenia. Akty gwałtu były zazwyczaj poprzedzane wysyłanymi do napiętnowanego człowieka ostrzeżeniami, którym nadawano niezwykłą, lecz powszechnie rozpoznawalną postać - czy to gałązki z klonowymi liśćmi, czy to pestek melona lub pomarańczy. Po otrzymaniu takiej przesyłki ofiara mogła albo publicznie wyrzec się swoich przekonań, albo uciekać z kraju. Jeśli ów człowiek zlekceważył takie ostrzeżenie, dopadała go niechybnie śmierć, i to zazwyczaj w sposób dziwny i nieprzewidywalny. Organizacja stowarzyszenia była tak doskonała, a jego metody tak przemyślane, że trudno w kronikach kryminalnych znaleźć przykład, aby komukolwiek udało się je zlekceważyć bezkarnie, albo żeby w wypadku aktów gwałtu popełnionych przez stowarzyszenie zdołano wytropić sprawców. Mimo starań rządu Stanów Zjednoczonych i światlejszych klas społeczeństwa Południa, organizacja przeżywała kilkuletni

okres rozkwitu. Wreszcie w roku 1869 ruch uległ gwałtownemu załamaniu, aczkolwiek i po tej dacie zdarzały się sporadyczne ekscesy. Jak zapewne dostrzeżasz - powiedział Holmes, odkładając książkę - nagłe osłabienie działalności stowarzyszenia zbiegło się w czasie ze zniknięciem z Ameryki Openshawa wraz z ważnymi dokumentami. Może to być równie dobrze przyczyna, jak i skutek. Nic dziwnego, że jemu i jego rodzinie depczą po piętach najbardziej nieprzejednani członkowie Ku-Klux-Klanu. Pojmujesz chyba, że ów rejestr i dziennik mogą wskazywać na pewne wybitne postacie Południa i że może być wielu zainteresowanych, którzy nie zaznają spokoju, dopóki dokumenty nie zostaną odzyskane.

- A więc ta strona, którą widzieliśmy...

- Jest tym, czego mogliśmy się spodziewać. Jeśli dobrze pamiętam, brzmiało to tak: „...postraszyć pestkami A., B. i C”, co oznaczało wysłanie im ostrzeżeń stowarzyszenia. Następne wpisy mówiły, że A. i B. zniknęli, czyli opuścili kraj, a C. złożono wizytę z fatalnym, jak się obawiam, dla niego skutkiem. Tak więc, doktorze, myślę, że możemy nieco rozproszyć mroki tajemnicy, i uważam, że na razie jedyną szansą dla młodego Openshawa jest postąpić zgodnie z moją radą. Dzisiejszego wieczoru nic już się więcej nie da ani powiedzieć, ani zrobić, podaj mi zatem skrzypce i spróbujmy na pół godziny zapomnieć o przygnębiającej pogodzie i jeszcze bardziej przygnębiających postępach naszych bliźnich.

Rankiem rozpogodziło się i słońce świeciło blaskiem przyćmionym poprzez wiszący nad wielkim miastem mglisty woal. Kiedy zszedłem na dół, Sherlock Holmes już siedział przy śniadaniu.

- Zechciej mi wybaczyć, że nie czekałem na ciebie - powiedział. - Czuję, że mam przed sobą bardzo pracowity dzień w związku ze śledztwem w sprawie młodego Openshawa.

- Jakie podejmiesz kroki? - zapytałem.

- Zależy to w dużym stopniu od wyników moich pierwszych dociekań. Może ostatecznie będę musiał pojechać do Horsham.

- Nie pojedziesz tam w pierwszej kolejności?

- Nie, zacznę od miasta. Zadzwoń na służącą, żeby ci Podała kawę.

Czekając na kawę, wziąłem ze stołu nieotwartą jeszcze gazetę i rzuciłem na nią okiem. Mój wzrok spoczął na tytule, od którego krew zastygła mi w żyłach.

- Holmesie! - krzyknąłem. - Jest już za późno!

- Ach! - zawołał, odstawiając filiżankę. - Obawiałem się tego. Jak to się stało? - Mówił spokojnie, zauważyłem jednak, że jest głęboko poruszony.

Moją uwagę zwróciło nazwisko Openshawa oraz tytuł TRAGEDIA PRZY MOŚCIE WATERLOO. Oto relacja:

Wczoraj wieczorem między godziną dziewiątą a dziesiątą posterunkowy Cook z Wydziału H, pełniąc służbę w pobliżu mostu Waterloo, usłyszał wołanie o pomoc, a następnie plusk wody. Wyjątkowe ciemności i burzliwa pogoda sprawiły, że pomimo pomocy kilku przechodniów skuteczny ratunek okazał się zupełnie wykluczony. Wszczęto alarm i dzięki pomocy policji wodnej ciało ostatecznie wydobyto. Okazało się, że topielcem jest młody dżentelmen, którego nazwisko, jak wynika z koperty znalezionej w kieszeni denata, brzmi John Openshaw, a jego miejscem zamieszkania jest dwór w pobliżu Horsham. Istnieje domniemanie, że mógł on spieścić na ostatni pociąg odjeżdżający z Dworca Waterloo i że w tym pośpiechu oraz z powodu głębokich ciemności zmylił drogę i spadł z nabrzeża jednej z małych przystani dla rzecznych parowców. Ciało zbadano w celu wykrycia śladów przemocy i nie ma żadnych wątpliwości, że denat to ofiara nieszczęśliwego wypadku, który powinien wpłynąć na zainteresowanie się władz miejskich stanem rzecznych przystani.

Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu. Nigdy dotąd nie widziałem Holmesa tak bardzo przygnębionego i wstrząśniętego.

- Uznaję to za osobisty policzek, Watsonie - odezwał się wreszcie. - To z pewnością uczucie małosłowne, ale tak to właśnie odczuwam. Uważam, że jestem teraz osobiście zaangażowany w tę sprawę i jeśli Bóg nie poskąpi mi zdrowia, dobiórę się do skóry tej szajce. Przecież on przyszedł do mnie z prośbą o pomoc, a ja wyprawilem go na śmierć... - zerwał się z krzesła i chodził po pokoju, nie panując nad wzburzeniem, z wypiekami na pociągłych policzkach, nerwowo splatając i rozplatając długie, szczupłe dłonie. - To muszą być szczwane łotry - wykrzyknął na koniec. - Jakim sposobem udało się im go tam zwabić w pułapkę? Nabrzeże nie leży w prostej linii do dworca. Nawet w taki wieczór most był z pewnością zbyt zatłoczony, aby mógł posłużyć ich celom. No, Watsonie, zobaczymy, kto wygra na dłuższą metę. Teraz wychodzę!

- Idziesz na policję?

- Nie, sam sobie będę policją. Kiedy uprzedzę pajęczynę, policja może dostać schwytane w nią muchy, ale nie wcześniej. Przez cały dzień zajmowałem się swymi pacjentami i kiedy znalazłem się na Baker Street, był już późny wieczór. Sherlock Holmes jeszcze nie wrócił. Zjawił się dopiero około dziesiątej - pobladły i umęczony. Podszedł do kredensu, urwał kawałek chleba z bochenka i pochłonął go łapczywie, popijając dużym łykiem wody.

- Jesteś głodny - zauważyłem.

- Konam z głodu. Zapomniałem o jedzeniu. Nic nie jadłem od śniadania.

- Nic?

- Ani kęsa.

- A jak ci poszło?

- Dobrze.

- Wpadłeś na trop?

- Mam ich w garści. Młody Openshaw wkrótce zostanie pomszczony. No, Watsonie, zastosujmy ich diabelskie chwytaki wobec nich samych. To jest myśl!

- O czym mówisz?

Wyjął ze spiżarni pomarańczę, rozerwał ją na części i wycisnął pestki na stół. Wybrał z nich pięć i wsadził do koperty. Po wewnętrznej stronie skrzydełka napisał: *SH do JC*. Następnie kopertę zakleił i zaadresował w sposób następujący: *Kapitan James Calhoun, barkentyna „Samotna Gwiazda”, Savannah, Georgia*.

- To będzie czekać na jego wejście do portu - powiedział, chichocząc. - Może mu przysporzyć bezsennych nocy. Uzna ten list - tak jak wcześniej Openshaw - za niezawodny zwiastun swego losu.

- Kim jest ten kapitan Calhoun?

- Przywódcą szajki. Innych też znajdę, ale on jest pierwszy.

- Jak go wytropiłeś?

Wyciągnął z kieszeni dużą płachtę papieru pokrytego datami i nazwiskami.

- Spędziłem cały dzień - powiedział - nad rejestrami Lloyda i dawnymi rocznikami gazet, śledząc dalsze losy wszystkich statków, które zawiwały do Pondicherry w styczniu i lutym 1883 roku. W ciągu tych miesięcy odnotowano trzydzieści sześć jednostek o pokaźnej wyporności. Wśród nich moją uwagę natychmiast zwróciła „Samotna Gwiazda”, ponieważ choć rejestr mówił że przyплыnęła z Londynu, to jej nazwa kojarzyła się jednocześnie z jednym z amerykańskich stanów.

- Chyba Teksasu.

- Nie jestem pewny którego; wiedziałem jednak, że statek musi pochodzić z Ameryki.
 - Cóż więc dalej?
 - Przejrzałem rejestry portu w Dundee i kiedy stwierdziłem, że „Samotna Gwiazda” znalazła się tam w styczniu 1885 roku, moje podejrzenie zamieniło się w pewność. Następnie zbadałem, jakie statki cumują obecnie w porcie londyńskim.
 - No i...?
 - „Samotna Gwiazda” przybiła tu w zeszłym tygodniu. Poszedłem do basenu Alberta, by się tam dowiedzieć, że spłynęła rzeką z poranną falą, kierując się na Savannah. Zatelegrafowałem do Gravesendu i otrzymałem informacje, że minęła ich jakiś czas temu, a ponieważ wieje wschodni wiatr, nie mam wątpliwości, że żaglowiec minął Już Goodwins i zbliża się do wyspy Wight.
 - Co zatem zrobisz?
 - Och, mam go w ręku. On i jego dwaj współnicy są jedynymi, jak się dowiedziałem, rodowitymi Amerykanami na tym statku. Pozostali to Finowie i Niemcy. Wiem również, że wszyscy trzech ostatniej nocy zeszli na ląd. Wiadomość tę mam od robotnika portowego, który pracował przy załadunku ich żaglowca. Zanim żaglowiec dotrze do Savannah, statek pocztowy dostarczy ten list, a depeza powiadomi tamtejszą policję, że tych trzech jegomościów jest tutaj usilnie poszukiwanych pod zarzutem popełnienia morderstwa.
- Jednak w najlepiej nawet obmyślonych ludzkich planach zawsze znajdzie się jakieś niedopatrzenie i mordercy Johna Openshawa nigdy nie mieli otrzymać pestek pomarańczy, które by im uzmysłowiły, że na ich tropie jest ktoś inny, równie przebiegły i zdecydowany jak oni sami. Niezwykle długo trwały i ostre były tego roku nawałnice w okresie jesiennego zrównania dnia z nocą. Długo czekaliśmy na wiadomości o „Samotnej Gwieździe” z Savannah, jednak żadne do nas nie dotarły. Usłyszeliśmy wreszcie, że gdzieś daleko na Atlantyku dostrzeżono kołyszącą się na falach stewę rufową z wyrytymi na niej literami SG. I to jest wszystko, co kiedykolwiek doszło do naszej wiadomości o losach „Samotnej Gwiazdy”.